Nr. 53.

Dodatek do „Gazety Narodowej“

z dnia 21. Lutego 1897.

Przed wyborami.

Lwów d. 20 lutego.

Pod tym tytułem zamieszcza tutejsza *Gazeta kościelna* obszerny artykuł, w którym zaznacza, że w całym ruchu wyborczym, rozwijającym się w naszej prowincyi nie słychać nic o sztandarze katolickim, z wyjątkiem, o ile się słowa tego używa do zwalczania socyalnych demokratów.

Widać — czytamy dalej w tym artykule — nie czujemy potrzeby stawania do walki wyborczej pod hasłem katolicyzmu. Czy dlatego, że u nas nic mu nie zagraża? Czy może dlatego, że hasło to odstraszyćby mogło sprzymierzeńców izraelskich, o których względy nawet nasi konserwatyści się ubijają? Czy dlatego, aby wybory nie dały powodu do rozdrażnienia namiętności religijnych?

Nasz episkopat nie podziela tej obawy. Piękne słowa wspólnego listu pasterskiego nie przebrzmią bez echa, owszem zaznaczą się trwałym śladem w umyśle katolików i są dla nas gwiazdą przewodnią — w obecnej dobie jednak w naszym kraju nie dadzą jeszcze namacalnych wyników.

Aby przeprowadzić wybory katolickie na całej linii, na to nie dość zgromadzeń, zwoływanych dorywczo w ostatnich tygodniach: nie można spodziewać się, że nowozaciężne luzaki odniosą zwycięstwo nad zszeregowanymi karnie nieprzyjaciółmi.

Wybory katolickie to uwieńczenie konsekwentnej i jednolitej akcyi katolickiej. Zanim zaważymy na szali wyborów, trzeba nam zorganizować to, co w społeczeństwie zostało i pragnie zostać katolickiem. Trzeba skonsolidować „Przyjaźni“, złączyć warstwy wykształcone w sodalicyach, rozwinąć bractwa Trzeciego zakonu w myśl Ojca św., przez wiece katolickie krzewić przekonanie, że religia powinna kierować człowiekiem w całem jego życiu tak publicznem jak prywatnem, przez coroczne kursy socyalne zaznajamiać koła wierzących ze środkami, które katolicyzm podaje na uleczenie chorób społecznych. Trzeba mieć codzienne pismo katolickie, katolickie w tem znaczeniu, że głównym punktem jego programu będzie zrekatolicyzowanie społeczeństwa i wyjaśnianie kwestyi politycznych i społecznych w świetle prawdy katolickiej, głoszonej przez Kościół. Potrzeba, aby kler, naśladując zagranicznych braci, przynajmniej raz w miesiąc zbierał się na konferencye, poświęcone wyłącznie sprawom społecznym. Potrzeba katolickich stowarzyszeń politycznych, przynajmniej w głównych miastach kraju, aby akcyę polityczną w duchu katolickim podejmowały i prowadziły. Gdy to wszystko nastąpi, gdy wspólna praca około organizacyi dzieł katolickich wydobędzie na jaw i wypróbuje nowe, nieznane dotychczas siły, wtedy możemy podnieść sztandar katolicyzmu z nadzieją powodzenia.

Jak dziś rzeczy stoją, dla braku organizacyi częstokroć nie wiemy, czy ochrzczony kandydat na posła jest katolikiem z przekonań. Moglibyśmy co najwyżej dowiedzieć się, czy przystępuje do św. Sakramentów i do kościoła chodzi, ale niekiedy trudno byłoby sprawdzić, czy uważa np. za obowiązek sumienia słuchać biskupów w kwestyach, które, jego zdaniem, są polityczne.

Jakkolwiek tedy nie spodziewamy się, żeby usiłowania, podjęte w myśl listu pasterskiego, w teraźniejszej chwili mogły być uwieńczone bardzo pomyślnym skutkiem, to przecie sądzimy, że wycofanie się z akcyi wyborczej byłoby błędem i grzechem. Dobrze więc, zdaniem naszem, zrobiły „Przyjaźni“ krakowskie, stawiając swojego kandydata, dobrze zrobiłyby inne skonsolidowane już stowarzyszenia katolickie, wstępując w ślady „Przyjaźni“.

Gdzie organizacya katolicka jeszcze niedomaga, tam powinniśmy przynajmniej uczynić, co jest w naszej mocy, aby przeforsować względnie dobrego kandydata, jeżeli kandydat bezwzględnie dobry, odpowiadający wszystkim życzeniom episkopatu, jest niemożliwy.

Leczenie suchot promieniami X.

(Odpowiedź redakcyi.)

Od p. K. S. z Zastawny otrzymaliśmy następujące zapytanie:

„Czytałem już kilkakrotnie w *Gazecie Narodowej* artykuły o działaniu promieni Rentgena, a między innemi o działaniu ich na skórę. Mianowicie pod wpływem promieni X. miała skóra postarzeć się, to jest nieco wyschnąć, skóra zaś pokryta włosami miała takowe utracić. Wiadomo powszechnie, że grzybki wegetują tylko w cieniu, zanikają zaś pod wpływem światła. O ile znowu mnie wiadomo, mają być mikroby, a między innemi i bakcyle tuberkuliczne niczem innem jak tylko mikroskopicznymi grzybkami. Skoro tak jest, czy nie dałoby się leczyć tuberkułów, poddając osobnika obarczonego takowymi działaniu promieni Rentgena?“

Zapytanie powyższe odstąpiliśmy p. dr Y., studyjującemu działanie promieni Rentgena i otrzymaliśmy od niego następującą uprzejmą odpowiedź:

„Od pewnego czasu poczynają lekarze dostrzegać, że promienie Rentgena mogą w bardzo wielu wypadkach ułatwić postawienie dyagnozy. Niedawno prof. Bouchard w Paryżu dokładnie wykazał na dwóch kliszach, wystawionych na działanie promieni Rentgena: na jednej wypadek spustoszenia poczynionego przez przecinki tuberkuliczne, a na drugiej — płuca z silnym wysiękiem. W obydwóch wypadkach anormalny stan organów, poddanych badaniom dał się z łatwością rozpoznać.

„Już samo ułatwienie dyagnozy dowodziłoby wielkiej użyteczności promieni Rentgena w terapeutyce. Tymczasem „Bulletin médical“ w numerze 5 z roku bieżącego podaje fakt bardzo ciekawy, gdyż świadczący o własności leczniczej tajemniczych promieni.

„Pewien młody człowiek 20-letni zapadł na bardzo silne zapalenie płuc. Pomimo energicznych środków, wywiązały się w krótkim stosunkowo przeciągu czasu — gdyż w miesiąc po zachorowaniu pacyenta — suchoty. Nie było nic do stracenia. Prof. Potain uciekł się do zastosowania metody Kocha. Stan chorego jednak pogorszył się znacznie, gorączka podniosła się do 40°8 stopni. Nie było rady. Chorego przewieziono na wieś, suchoty prowadziły dzieło zniszczenia już bez żadnych przeszkód. Zrozpaczony ojciec zasłyszawszy o nowym sposobie leczenia suchot przy pomocy Rentgena, uprosił doktorów o spróbowanie tej kuracyi na synu, jako ostatecznego środka. Wbrew przekonaniom, doktorzy Rendu i de Castel ulegli prośbie ojca i odwoławszy się do specyalisty p. Ducretet o wskazówki techniczne, kuracyę rozpoczęli. Chorego, a właściwie jego płuca, wystawiano co dni parę na działanie promieni Rentgena. Po każdem takiem posiedzeniu chory zasypiał snem spokojnym. Po kilku miesiącach kuracyi, niewpływającej pozornie na organizm, chory odzyskał najzupełniej zdrowie, a laseczniki tuberkuliczne gdzieś znikły.

„Naturalnie każdy sceptyk będzie zdania, że to tylko przypadkowy zbieg okoliczności ów cały fakt, wyżej opowiedziany, że tu zapewne młodość górę wzięła i stłumiła chorobę w zarodku.

„Zdania mego w tym względzie jeszcze wypowiadać nie mogę. Wpierw niechaj cały szereg poważnych doświadczeń wykaże właściwość zabójczą promieni X. dla szkodliwych mikroorganizmów toczących ciało, wtedy dopiero wykrzyknąć będziemy mogli wraz z innymi: zwycięstwo!“

Maski i maskarady.

Dziwne przemiany i koleje przechodzą ludzkie zabawy i przyjemności! Maska jest dziś dla nas symbolem najswawolniejszej i najmniej krępowanej wesołości, a przecież w zawiązkach swoich oznaczała tak samo jak larwa (lar) ducha jakiegoś nieboszczyka. Śledząc jej dziejów, docieramy aż do okresu najpierwszego niemowlęctwa w życiu ludów. Maska jest dalszym ciągiem i uzupełnieniem grymasu twarzy, którym się dzieci zawsze z wielką predylekcyą w różnych okolicznościach życia posługują. Liczne ludy pierwotne np. mieszkańcy Otahajtów w bardzo mnogich razach stosują grymasy w najdziwaczniejszy sposób.

U niektórych plemion zauważyć można stopień pośredni między grymasem a maską. Jest to objaw niezmiernie ciekawy. U plemion takich ludzie własną żywą czaszkę w niektórych miejscach defigurują sztucznymi nacięciami tak, że po zagojeniu się ran głowa do śmierci wygląda jak gdyby była w masce.

Po wielu perypetyach doszła nakoniec maska do panowania na całym świecie. Można ją znaleźć prawie u wszystkich narodów ziemi i to w kształtach najróżnorodniejszych i najmniej oczekiwanych. Każde etnograficzne muzeum posiada egzemplarze masek hełmiastych, używanych z upodobaniem przez ludy Melanezyi i Afryki zachodniej, a osłaniających całą głowę.

Wiele ludów używa fantastycznych masek podczas tańców wojennych Japończycy mają maski, pełne surowego, ale niezmiernie charakterystycznego i zaraźliwego komizmu, a używają ich szczególnie podczas uroczystości noworocznych. Brazylijscy Juryowie ubierają podczas pewnych uroczystości monstrualne białe maski. Sporządza się je z koszów na mąkę, pokrytych podobną do sukna tkaniną z włókien drzewnych, a przedstawiają szczęki i zęby olbrzymich rozmiarów.

Często także napotyka się na maski zwierzęce u rozmaitych ludów, u Juryów np. na maskę tapira, u Mandanów na maskę głowy bawolej. — U Hajdahów napotkano maski kolosalnej wielkości z wąsami z włosów psa morskiego i z mechaniczną wewnątrz konstrukcyą do przewracania oczyma, poruszania wargami itd.

Wielkie rozpowszechnienie się maski po ziemi zręcznie wyjaśnił Adolf Bustian, doszukawszy się w masce podwójnego znaczenia. Służy ona najprzód za ochronę przeciw złemu wejrzeniu, urokom itd. a powtóre jest skuteczną na odstraszanie wrogich duchów, czyli że jest też używana za pewnego rodzaju broń zaczepną w walce z światem niewidzialnym.

Obie te właściwości masek można wyśledzić w masce Gorgon, znanej z podań heleńskich. Tego, który ją przywdział chroniła przed wpływami czarowników i równocześnie przemieniała w kamień tego, który na nią spojrzał. Z tego też powodu nakładają np. Aleuci swoim nieboszczykom na ciemną drogę pośmiertną maski, aby się nie dali przerazić demonom, na których mogą się natknąć i zarazem, aby mieli ochronę przed dyabłami, którzy na ich duszę czyhają. Za straszydło używają jej Irokezi do odpędzania samego upiora tj. duszy nieboszczyka, która w bardzo rozpowszechnionem mniemaniu ludów pierwotnych ma jeszcze po wyjściu z ciała władzę czynienia źle lub dobrze.

Musimy przeto uznać w wesołych dzisiaj zamaskowanych postaciach, występujących podczas uroczystości wiosennych, żniwnych, dziękczynnych lub błagalnych, pierwotne groźne wojska, które miały ciężką walkę do stoczenia z przemożnymi duchami. Bardzo wyraźnie widać było ten cel w maskaradzie, urządzonej przez cejlońskiego króla Dambedewę podczas choroby jego żony Pitjaty.

Podczas dyjoneizjów przeciągały pod Atenach obok uroczystego pochodu postaci, obwieszone skórami zwierząt, odziane w maski jak najgrymaśniejsze, poprzebierane za złośliwych i dokuczliwych Panów i Satyrów, których potęgę dopiero Dyjonizos miał siłę złamać.

Godnym uwagi jest fakt, że w Rzymie zaprowadzono tańce zamaskowanych postaci na przebłaganie przedewszystkiem anioła zarazy. A gdy w 14 wieku monachijscy rzeźnicy i owczarze zaprowadzili znane swoje wesołe krotochwile maskowe, aby lud odciągnąć od widoku strasznych skutków czarnej śmierci — czyż nie czynili tego z instynktowej pobudki, tkwiącej w odwiecznych wierzeniach ludowych. Czyż postępek Monachijczyków nie był podobnym do postępku Mandanów, którzy urządzają maskarady w razie powszechnego głodu?

Lud drwi z upadłych wielkości, to też od wieków szyderstwo pospólstwa ostrzyło sobie język na złych duchach, które się dały oszukać stosownie zaaplikowanymi ceremoniami i które nie dokonały złośliwych swoich zamiarów. Tym sposobem bardzo rychło przemienili się zamaskowani zwycięzcy dyjabłów w rozsadniki najswawolniejszej wesołości. Co u Helenów utrzymało się jeszcze w granicach umiarkowania, to u mniej okrzesanych Rzymian uległo szybko zwyrodnieniu. Podczas takich uroczystości jak hilarye, hałas i wrzawa napełniały całe miasto. Zazwyczaj tak pełni godności kwiryci wdziewali maski, a wszystko wszystkim było wolno, nawet najwyższe urzędy nie miały ochrony prze dokuczliwymi dowcipami i szyderstwem. Na nowy rok przebierano się w suknie niewieście, smarowano sobie twarz drożdżami i okrywano się skórami jelenimi, niedźwiedzimi, lwimi albo cielęcymi. W czasie ogólnej zabawy z biegiem lat przybierała swawola i rozpusta, a gdy chrześcijaństwo się rozpowszechniło, wystąpili kapłani Chrystusa jak najbardziej stanowczo przeciw pogańskim maskaradom. Ta walka z panowaniem i wolnością maski nie ustała do dnia dzisiejszego. Kwakrzy i mennonici z zasady potępiają i dzisiaj jeszcze wszelką zabawę w maskach.

W wiekach średnich walczą bez przerwy zakazy władz z nieokiełzanem upodobaniem ludzi do maskarad. Tak już w wieku 14 wydano w Augsburgu i Frankfurcie nad Menem zakazy wdziewania masek. W królestwie wirtemberskiem nakazano, „aby nikt się nie pokazywał o którejkolwiekbądź porze roku ani w masce ani w dziwacznym stroju na ulicy pod grozą wieży albo domu warjatów“. W Lipsku jeszcze w r. 1608. chciano przeszkodzić „bieganiu masek“ i zaczęto srogimi karami okładać przestępców zakazu, ale wkrótce zaniechano surowości, gdyż się pokazało, że nietylko pospólstwo, ale i dzieci znakomitych ludzi brały w maskaradach udział.

Chęci ludu, pragnącego wyszumieć w nadarzonej sposobności w nieokiełzanej w niczem swawoli maskaradowej, nie zdołały żadne prawne przepisy stłumić. Pstrego życia w średnich wiekach nie można sobie wyobrazić bez podobnych uroczystości w maskach, które przeszczepione jako misterya i zapustne krotochwile na scenę stały się zawiązkiem nowoczesnego dramatu. Urządzano dziwaczne pochody maskowe, które dotrwały w niektórych miejscach do dnia dzisiejszego. Podczas „wielkiego tańca“ w Marsylii oprowadzano po mieście wszystkie konie, osły, muły, woły i krowy z wielką wspaniałością, podczas gdy sami mieszkańcy, przyłączając się do uroczystego pochodu, przybrawszy najkomiczniejsze maski i trzymając się za ręce tańczyli przez wszystkie ulice. W Perpinianie mieszali się między maski biczownicy, którzy się i sami okładali razami i innym bić się pozwalali. Tworzyło to razem całość bardzo oryginalną.

W roku 1777 założyła się pewna dziewka karczemna z oficerami, iż zupełnie naga weźmie udział w pochodzie masek, stanęła też w ich szeregu zupełnie bez ubrania, z biczownicą tylko w ręku, przedstawiając pokutującą Magdalenę. Wskutek tego zakazał biskup procesyj, ale z początkiem rewolucyi lud na nowo przywrócił maskarady. — Nierównie charakterystyczniejszem było „bieganie pięknych bród“ zaprowadzone w roku 1349 w Norymberdze.

Jan Saks uznał jedno z takich widowisk za godne opisu swego pióra. Obok tańców i swawoli wielką rolę w tych uroczystościach grały wyszydzania osób nielubianych i dokuczliwych rozporządzeń władzy. Dowcip uczynił tu z maskarad rzecz głębszą. W roku 1523 np. jakaś maska zwróciła na się powszechną uwagę protestantów, ukazawszy się w przebraniu, złożonem w całości z odpustowych listów.

Odtąd coraz częściej wyśmiewano na owych maskaradach religię i księży, to też wkrótce rządy rozumne zakazały ich zupełnie.

Ostatnią taką wycieczką przeciw religii, która już dobiła wszelkie „biegania masek“ było wyszydzenie gorącego kaznodziei Ozyandra, którego przedstawiono jako otyłego popa, siedzącego w piekle z deską do gry w kości zamiast książki w ręku.

W nowszych czasach o tyle się maskarady zreformowały na korzyść i to nawet znaczną, że wprowadzono do nich pomysły wysoce artystyczne. Artystyczne maskarady wyrosły na gruncie Włoch odrodzonych. Tam mistrzowie tacy jak Leonardo da Vinci, albo Bruneleschо kierowali uroczystościami na dworach swoich książąt i urządzali z niesłychanym przepychem pochody, alegorye, tryumfy i t. d. A przecież i tam nie wszystko było wypływem dobrego smaku. Naśladowano np. niewiadomo czyj pomysł, który polegał na tem, że z olbrzymich postaci zwierząt wychodziły całe tłumy masek. Coś podobnego urządził w r. 1617 książę wirtemberski na turnieju. Z czterech kolosalnych głów zwierzęcych, najdziwaczniej powykrzywianych, a poruszających się zapomocą ukrytego mechanizmu wyskakiwało 20 masek po kolei z każdej paszczy. Mimo to uszlachetniający wpływ sztuki odbił się na maskaradach, a Włochy pozostały już na zawsze klasycznym krajem masek, które tam w czasie karnawału prawie całe życie ludu sobą nakrywały. Najdzikszym bywał karnawał w Livornie, najweselszym w Wenecyi, gdzie na placu św. Marka najbardziej ożywiony ruch powstawał, najwspanialszy w Rzymie, a najruchliwszy w Neapolu, gdzie się też objawiła prawdziwa namiętność do wielkich pochodów. Tak urządził tam król w r. 1778 imponujący pochód masek, w którym i sam wziął udział. Przedstawiono podróż sułtana do Mekki, a szedł na czele mniej więcej 200.000 ludzi. Zapełnili sobą całkowicie wielką ulicę Toledańską. Całą tę masę ludu tylko czterech gwardzistów utrzymywało w karbach i porządku. Jestto rys bardzo charakterystyczny — świadczy o dobroduszności ówczesnych mieszkańców Neapolu. O ile maskarady zyskały na historycznej ścisłości i artystycznym wdzięku, o tyle straciły na naiwnym humorze. W Niemczech jedynie w nadreńskich i południowych niemieckich miastach podtrzymywał jeszcze karnawał tradycyę dawnych swawolnych maskarad. W Paryżu surowymi przepisami wzięła władza w połowie wieku 18 na krótkie wędzidło dawną swobodę masek, skutkiem czego nastąpił strejk w karnawale. Policya kazała wprawdzie kilku tysiącom ludzi przywdziać maski i nie broniła im wstępu na ulicę, ale prawdziwej, szczerej wesołości nie było już między nimi. Tak powoli zaginęły głośne i rubaszne ale też i wesołe maskarady ludowe.

Natomiast na dworach weszły na porządek dzienny uroczyste i drobiazgowe, historycznie i etnograficznie wierne pochody kostyumowe. Przecywilizowani dworacy i rozpasane dworki Ludwika XV. przepadali za sentymentalnymi przebraniami pastuszków, których powabny pędzel Watteau’a unieśmiertelnił. Bardzo były w modzie „karczmy“. W Dreźnie 9 lutego 1728 z okazyi odwidzin Fryderyka Wilhelma I. i jego syna urządzono taką wiejską karczmę. Król Fryderyk August sam przedstawiał karczmarza, karczmarką zaś była księżna cieszyńska. Olbrzymią salę zamkową zmieniono w gospodę „pod białym orłem“. Pruskiemu żołdakowi dziwną się musiała wydawać taka zabawa, chociaż musiał ją widzieć i na swoim dworze. Jego ojciec w dniu 7 stycznia 1690 r. kazał przedstawić podczas „gospody kolońskiej nad Sprewą“ „Szlifierza“ skomponowanego przez jakiegoś dworaka w wierszach okropnie napuszystych. Pod sztywny strój takich dworskich maskarad wprowadził Piotr Wielki nieco moskiewskiej brutalności. W r. 1715 ożenił Sotowa, nadwornego błazna i starca 84-letniego z wdową 34-letnią i uczcił te zaślubiny pochodem 400 masek, które miały przedstawiać całą setkę najrozmaitszych azyatyckich narodów. Na swatów wybrał czterech jąkałów, na laufrów kilku podagrycznych tłuściochów, a na marszałków takich zgrzybiałych starców, że ani stać, ani chodzić o własnej sile już nie umieli. W roku 1721 zgromadził nawet 1.000 masek, między którymi sam chodził w przebraniu holenderskiego majtka i dobosza okrętowego. Przypomniał sobie widać młodość spędzoną w Holandii.

Tak to powoli z uroczystości ludowych przerodziły się maskarady w zabawy dworskie. W stolicach dawali zazwyczaj dla ludu panujący jedną lub kilka redut. Panowały na nich na zewnątrz ruch i pstrokacizna, ale nic już nie miały wspólnego z dawnymi pięknymi zabawami maskowymi, urządzanymi przez sam lud dla siebie samego. Znaczenie maski jest dzisiaj takie same, jak i przed wiekami — powinno odstraszać złośliwe duchy powszedniości i nudów. Niestety oprócz samego przebrania potrzeba do tego celu jeszcze swobody umysłu i serca i humoru.

Sztuki piękne.

* **Maryę Konopnicką** pomawiają niektórzy krytycy o propagandę nienawiści społecznej i bezbożność. Ks. prałat J. Gnatowski wygłosił wczoraj popołudniu przed audytoryum, złożonem z przeszło stu osób, a zebranem w sali ratuszowej, świetną i pełną poetycznego polotu apologię znakomitej poetki. Przedewszystkiem uznał jej niepospolity talent poetycki, który jej pozwolił zostać tem w poezyi polskiej, czem Szopen stał się dla polskiej muzyki. Konopnicka czerpie motywy swojej twórczości z najczystszej krynicy poezyi ludowej, a przetopiwszy je w ogniu własnego ducha na płynne złoto, wlewa potem w prześliczne formy, artystycznie wyrzeźbione i aż do złudzenia naśladujące formy i koloryt rodzimej ludowej pieśni. Dla świetności i wdzięku słowa i swego, dla łatwości i naturalności rymu, dla głębi uczucia wreszcie, kryjącej się pod koronkową zasłoną błyskotliwego stylu, godną jest Konopnicka stanąć na Parnasie naszym w parze ze Słowackim.

Prawda, że Konopnicka w poezyach swoich całą winę niedoli chłopskiej zwala na dwór i jego mieszkańców, którzy pozwolili zaróść zielskiem drodze z pałacu do chaty, prawda, że zaprzecza wszelkim zasługom, położonym przez tych, którzy przez wieki całe przodowali narodowi — ale czyż istotnie są oni bez winy? Czy przeciwnie nie powinni się uderzyć w piersi, wołając mea culpa? Któż to osądzi i kto zechce pierwszy kamieniem potępienia cisnąć na tę, co w obronie słabych może istotnie wypowiedziała za wiele?

Konopnicka w całym szeregu poematów uderza w kościół i jego hierarchię, przedstawiając oboje jako pęta, nałożone na ludzkość w jej dziejowym pochodzie. Fałsz to oczywisty, bo któż jeśli nie kościół i duchowni jego słudzy rozniecał i rozniecа dotąd najjaśniejsze ogniska wiedzy i nauki, kto jeśli nie oni wszystkim wspaniałym dziełom miłosierdzia początek dawał i daje? I poetka jest zanadto wykształconą, aby tego nie wiedziała, wszystko tedy złe, co mówi o kościele, habicie i sukni kapłańskiej nie jest wypływem jej przekonania, jeno niepowściągliwością języka, które jej tem snadniej wybaczyć można, że poza nich sięga, wyżej nad nich — do samego Boga.

Powiedziano o Konopnickiej, że gniewa się w swych poematach na Boga. Ona nietylko się na niego gniewa, ale go nawet oskarża, tylko że za sędziego w tym procesie przeciw Bogu i Chrystusowi obiera sobie tegoż samego oskarżanego Boga. I w tem leży olbrzymia różnica między Konopnicką a poetami pessymistycznymi Zachodu, którzy wprost bóstwu przeczą. Zresztą zaprzestała już poetka od dawna wypowiadać bluźnierstwa, które i dawniej wygłaszały tylko usta. Sercem wyznawała Boga i ten Bóg miłosierdzia wybaczy ustom dla szlachetności serca, wezbranego żalem i litością nad ludzką nędzą i goryczą z ludzkiego zła.

Co jeszcze na korzyść Konopnickiej przemawia, to fakt, że w poezyach swoich jest szczerą i skromną. Wypowiada co myśli, a myśli i czuje wcale nie egoistycznie. O sobie bardzo rzadko mówi, a za to zawsze i wszędzie tylko nędzy ludzkiej poświęca mistrzowskie zwrotki. Tak samo rzadko opiewa miłość ziemską, bo uważa ją tylko za dodatek, za uzupełnienie większych i poważniejszych zadań, a już co do erotyzmu, to o całe niebo wyżej stoi brakiem jego od współczesnych sobie poetów i poetek.

Ks. Gnatowski przeplatał odczyt swój cytatami całych poematów Konopnickiej, iskrzących się jak łzy rosy na kielichu kwiatu wszystkimi barwami tęczy — a mówił wyrazami tak poetycznymi, tak barwnymi i tak serdecznymi, że trudno było odróżnić, kiedy się kończyła opiewana przezeń poetka, a kiedy się zaczynały jego własne słowa. Odczyt trwał siedm kwadransów, a przemknął jak chwila, to też naprawdę serdecznymi oklaskami dziękowało mu audytoryum, w większej części kobiece, za tę rozkosz duchową, jaką mu zgotował.

* **Koncertu T. Pollaka** słuchało wczoraj w sali Domu Narodnego bardzo wykwintne, muzykalne i wielkie audytoryum odeszło zaś z uczuciem prawdziwego zadowolenia artystycznego w duszy. P. Pollak w technice fortepianowej doszedł już do tego stopnia biegłości, że samych pochwał już tylko oczekiwać może. Uderzenie jego jest pewne, a precyzya wielka, cieniuje grę artystycznie i zaokrągla frazesy bardzo pięknie. Umie on utrzymać miarę w wykonaniu, która cechuje prawdziwą sztukę, a choć może nie dość ma w piersiach ognia i zapału, chociaż tu i ówdzie ton jest zamało głęboki, to za to wszystko, co z pod jego palców wypływa przeniknione jest uczuciem delikatnem i szlachetnem. W rzeczach melodyjnych, przepełnionych melancholią, a jak pajęczyna powiewnych, celuje, to też cały wieczór swój wczorajszy ułożył z Szopena, Szumana i siebie samego. Beethovena sonata 53, która rozpoczęła koncert, najsłabiej wypadła, natomiast 12 rapsodya Liszta, odegrana na zakończenie, była majstersztykiem wirtuoza. W programie były: Chopin-Liszt „Chant polonais“, Chopin „Impromptu fis-dur“ i „Polonez as-dur“, Wagner-Liszt „Parafraza z opery Latający Holender“ i Szuman „Pieśń wieczorna“ i „Marzenia senne“. Za każdy z tych utworów zbierał koncertant huczne oklaski, ale najhuczniejsze za swoje własne kompozycye. Trzy były. Na wszystkich znać było jakby tchnienie nieśmiertelnego Szopenowskiego ducha, wszystkie pełne jakiejś łagodnej tęsknoty i melodyjne, potoczyste i zaokrąglone dobrze w całość. Prawdziwe klejnociki. „Sceny balowe“ podzielone na sześć części, najpiękniejsze ustępy mają w introdukcyi pełnej werwy w prześlicznym „Valse lente“ i w tęsknej „La melancolique“. Tak samo śpiewne i tak samo owiane delikatną mgłą zadumy są też: mazurek e-dur i etude.

Kiedy po odegraniu tych utworów słuchacze oklaskami dziękowali kompozytorowi i wirtuozowi, podeszła do fortepianu jedna

obecnych pań i ofiarowała p. Pollakowi srebrny wieniec w imieniu wdzięcznych uczenic, wielbiciele zaś artysty złożyli mu w dani olbrzymi wieniec laurowy. Oklaski na ten widok rozległy się ponownie ze zdwojoną siłą.

Urozmaiceniem programu było trio Weckbeckera na fortepian, skrzypce i wiolonczelę. Wykonali je z koncertantem pp. Wolfstal i Sladek, co im łatwo przyszło, bo tak pierwszy jak i drugi umieją po mistrzowsku wydobywać ze swych instrumentów prawdziwe i głębokie uczucie. Chociaż sam utwór jest nieco jednostajny, to jednak zapomnieli o tem wszyscy pod urokiem piękności samej gry i nie szczędzili oklasków trójce artystów.

ROZMAITOSCI.

Nowa lokomotywa. Wartość czasu w społeczeństwach ucywilizowanych staje się coraz wyższą, dążymy więc do coraz lepszego zużytkowania tego daru niemateryalnego. Szczególniej staje się to widocznem, kiedy się przypatrujemy ulepszeniom w środkach komunikacyi. Aby oszczędzić parę dni na przejazd z Europy do Ameryki, budujemy olbrzymie i szybkie, ale też pożerające stosy węgla okręty; chyżość pociągów, która nas do niedawna zadowalała, staje się dziś niedostateczną, inżynierowie starają się ulepszyć lokomotywy, aby mogły toczyć się po szynach z szybkością stu, a nawet więcej klm. na godzinę.

Zwykły parowóz ma pewne organiczne wady, które nie pozwalają mu stanąć na wysokości dzisiejszych wymagań. Aby uczynić im zadość, Heilmann zbudował lokomotywą elektryczną, mającą ważne zalety i wprowadzoną już, tytułem próby na kilku liniach francuskich i angielskich

Doświadczenia wypadły na korzyść nowego wynalazku i możemy powiedzieć o nim kilka słów objaśniających.

Lokomotywa Heilmanna w tylnej połowie mieści zwykły kocioł parowy o wielkiej powierzchni ogrzewalnej, który dostarcza pary maszynie parowej o sile tysiąca kilkuset koni, znajdującej się w pośrodku wozu. Maszyna obraca z kolei dwie wielkie dynamo-elektryczne maszyny, ustawione w przedniej części i wytwarzające silny prąd, który znów zasila elektromotery, działające wprost na osi lokomotywy.

Urządzenie takie może się na pozór wydać niepraktycznem. Chcąc popychać lokomotywę maszyną parową, zamieniamy najprzód parę tej ostatniej w elektryczność. następnie zaś przeobrażamy elektryczny prąd napowrót w siłę mechaniczną; uciekamy się więc do pośrednictwa elektryczności, zamiast działać wprost i przez to narażamy się na pewną stratę. Prawda, ale tą drogą osiągamy ważne korzyści, przedewszystkiem unikamy nieprzyjemnych wstrząśnień, koniecznych w zwykłej lokomotywie, poruszanej skokami tłoków. Elektromoter obraca się nietylko łagodnie, ale i niezmiernie prędko, dlatego też łatwo nadać z jego pomocą lokomotywie wielką szybkość. Doświadczenia wykazały, że wóz Heilmanna bez trudności robi 100, a nawet 110 kilometrów na godzinę. Może osiągnąć wagony po pochyłości, wynoszącej po 8 milimetrów na metr bieżący. Konsumcya węgla jest przy tem niewielką (3·8 kg. na pociąg i kilometr). Znawcy utrzymują, że w potrzebie szybkość da się jeszcze podnieść bez wprowadzenia zmian w budowie nowej lokomotywy, która ma niewątpliwie świetną przyszłość.

Nowy wodospad. Dwaj Amerykanie Dart i Thomson z Minnesoty w łańcuchu weneculelskich gór Imataki odkryli niedawno nowy a wielki wodospad. Obaj wybrali się w podróż z miasta Orynoku. Dnia 13 listopada usłyszeli daleki grzmot, a gdy się zbliżyli, spostrzegli rzekę z jednym z największych na świecie wodospadów. Woda leci w przepaść ze skały prawie prostopadłej, wysokiej na 1600 stóp, a to nie jednym lecz sześciu strumieniami. Każdy strumień wodospadu wygląda jak skręcony w śrubę wachlarz rozpostarty.

Przeciw płowieniu materyałów jest podobno sposób niezawodny: Oto aby spłowiały kolor przywrócić, wystarcza daną materyę wysmarować gąbką, umaczaną w czystym chloroformie. Szczególniej pluszę są wrażliwe na ten środek. Radzilibyśmy jednak nie robić tego w bliskości ognia i starać się możliwie najmniej oddychać powietrzem, przesyconem cząstkami chloroformu.

Curfew, który to wyraz pochodzi od francuskiego „couvre feu“ nazywa się w Anglii wieczorne dzwonienie, wprowadzone jeszcze przez Wilhelma Zdobywcę. Kto usłyszał głos dzwonu, winien był nakryć ogniska, gasić światło i iść spać. Dzwonienie to pozostało do dziś w wielu angielskich wsiach i miasteczkach, niemając już naturalnie dawnej mocy kategorycznego rozkazu. Purytanie przewieźli curfew jako symbol ładu i porządku do Ameryki, gdzie z biegiem czasu wyszło z użycia. Dopiero w ostatnich czasach odżyło w Stanach zachodnich. Tam mianowicie już w wielu miastach daje o pewnej wieczornej godzinie 9 czy 8 dzwon miejski znak, że od tej chwili dzieciom niżej pewnego wieku nie wolno się jawić na ulicy samym — bez starszych. Nawet w Nowym Jorku zamyśla rada miejska wprowadzić to pożyteczne urządzenie.

Anch'io sono pittore. W dniach ostatnich podczas pewnej rozprawy sądowej w Paryżu wiele wesołości obudził świadek, który na zapytanie sędziego o zatrudnienie odpowiedział znanym cytatem anch'io sono pittore. Pokazało się, że istotnie był malarzem — malował skórki królicze na futra sobolowe, gronostajowe, nurki, niebieskie lisy i inne. Był to jeden z członków dość licznego cechu tego rodzaju malarzy, którzy niemniej dobre robią interesy jak koledzy Rembrandta.

Przynęta na szczury. We Francyi i Anglii do łapek na szczury używane są na przynętę ziarna słonecznika. Szczury tak namiętnie ziarna te lubią, że łapka dobrze niemi wysypana nigdy szczurom nie powszednieje i zawsze daje dobre plony. Tylko temu środkowi ogród zoologiczny w Londynie zawdzięcza oswobodzenie od tej okropnej plagi, jaką są szczury.
